

SŁAWOMIR
NIEŚCIUR



TOM I
KURS NA KOLIZJĘ



[RECENZJA] „Kurs na kolizję” Sławomir Nieściur

nimfa bagienna

Wszystkie nasze wady zniesiemy do gwiazd

Nie przepadam za książkami z gatunku space opera, bo wszystkie wydają mi się do siebie podobne. Opisują konflikty Ziemiaków z obcymi rasami i sprawiają wrażenie, jakby ich autorzy korzystali z uniwersalnego schematu: kosmiczne bitwy, zaawansowana technika, pościgi wielkimi okrętami i nie do końca zgodne z fizyką (przynajmniej tą współczesną) pomysły na napęd międzygwiazdny. Niezmiernie rzadko zdarza się, by autor miał do przekazania coś ponadto. Iskierkę oryginalności dostrzegłam w książce Sławomira Nieściura „Kurs na kolizję”, pierwszej części nowego cyklu Shadow Raptors UF-101. Swoją drogą, czy ktoś mógłby mi wytłumaczyć, dlaczego – skoro tytuł powieści jest polski – nazwa cyklu jest angielska? Czemu to ma służyć?

Podoba mi się niewypowiedziana teza autora, że wszędzie, gdzie się znajdziemy, zabierzemy ze sobą... siebie. Nasze wszystkie wady i zalety. Stacja kosmiczna opisana przez Nieściura jest miejscem aż nadto swojskim: odbywa się na niej pokątny handelek sprzętem z odzysku, uprzywilejowany oficer wypożycza swój identyfikator znajomemu, by ten mógł skorzystać z zaawansowanej opieki medycznej, a biurokracja wspañiale się rozwija. Świat usług wzajemnych, w którym ręka rękę myje, jest nam doskonale znany, i być może dlatego książkę tak dobrze i gładko się czyta.

Tym, co zawsze mnie zastanawia w przypadku space opery, która dzieje się w stosunkowo niedalekiej przyszłości, jest skok technologiczny, który umożliwia ludzkości podróże do gwiazd. Nieściur zgrabnie uniknął pułapki nieprawdopodobieństwa – w jego uniwersum ludzie nie opracowali technologii sami, lecz zapożyczyli (czy też ukradli) ją od obcej rasy. Owszem, konstruuja pojazdy kosmiczne i podróżują nimi na wielkie odległości, lecz nie jest to zasługa ziemskich naukowców, tylko dobrze rozwinięta umiejętność kopiowania cudzych pomysłów. I to też mi się podoba, bo ukazuje nasz gatunek jako mistrza bezwzględności i sztuki przetrwania – co jest prawdą.

Od słów uznania przejdźmy do krytyki. Na stronie 12 zostaje wprowadzona jedna z głównych postaci, Katia Sniegowa. A pierwszym słowem użytym do jej opisanie jest „urodziwa”. Jak powszechnie wiadomo, opis zaczyna się od tej cechy, która dla charakterystyki danej osoby, w tym przypadku oficera floty kosmicznej, jest najważniejsza. Od razu przypomniał mi się czytany niegdyś w internecie zapis konferencji prasowej grupy astronautów, gdzie jedyne pytanie, jakie zostało skierowane do kobiety (Jeleny Sierowej), brzmiało: „Jak pani suszy w kosmosie swoje długie włosy?”. Takich schematów i stereotypów jest parę, ale na szczęście nie aż tyle, by niszczyły przyjemność płynącą z czytania.

Kolejną rzeczą, którą trudno było mi przełknąć, jest mający w założeniu chwycić za serce motyw zyskiwania samoświadomości przez sztuczne inteligencje. Samo w sobie jest to bardzo prawdopodobne... ale rozdzierająca serce scena „śmierci” i samopoświęcenie łazika najpierw mnie zdenerwowała, a potem wywołała niezbyt sympatyczny uśmieszek. Za dużo było w tym patosu, za dużo przerysowania, grania na emocjach. Być może tylko dla mnie... nie wiem.

Po lekturze stwierdziłam, że mimo wszystko plusów jest więcej niż minusów. Przede wszystkim

książka jest ciekawa i można dzięki niej przeżyć kilka miłych godzin w oderwaniu od rzeczywistości. Na pewno sięgnę po drugi tom, bo mam wrażenie, że cykl dopiero nabiera rozpędu.

Hanna Fronczak